

## Marta Kwaśnicka: Melancholia

Odwiedziny na cmentarzu, pieszo lub na rowerze, były stałym elementem rytuału odwiedzin w Wirczy



**Odwiedziny na cmentarzu, pieszo lub na rowerze, były stałym elementem rytuału odwiedzin w Wirczy**

Nie jestem pewna, jak dokładnie mówiono o Wirczy: Topieluchowo albo Pieluchowo. Staralam się usłyszeć za każdym razem, kiedy wymieniano to określenie, ale nigdy mi się nie udało. Pierwsza sylaba pojawiała się tylko połowicznie, dźwięczała lub nie, drżała na granicy nieistnienia. Nie miała zresztą większego znaczenia, bo obie nazwy

były równie uzasadnione. Pierwsza mogłaby pochodzić od topieli, bo Wircza była płaska jak stół, znajdowała się na ostatniej nizinie przed nagłym podkarpackim skokiem terenu – i zwykle stała tutaj woda, niezależnie od pory roku, chociaż najwięcej było jej, oczywiście, na wiosnę. Pieluchowo zaś – bo tutaj wszyscy się wychowali, bo Wircza była żywiołem kobiecym, były tu tylko babki, ciotki i kuzynki o zdrobniałych imionach (zwracały się do siebie pieszczotliwie nawet kiedy nie łączyło ich nic poza wzajemną niechęcią). Były tu zatem Stenie, Wandeczki, Madzie i Kamy, a ich mężowie stanowili zaledwie konieczne tło. To tutaj niezliczone siostry, które wydały się za mąż za mężczyzn z różnych części Polski, karmiły i chowały swoje niezliczone dzieci, głównie córki, które następnie zostawały tu lub przyjeżdżały na wakacje, łapiąc bakcyła Wirczy, uważając ją, pełną bagnisk i skowronków, za bezsprzecznie najpiękniejsze miejsce na świecie.

Wircza pocięta była rowami odprowadzającymi wodę, co było zresztą zadaniem beznadziejnym i czysto symbolicznym, a to, na czyjej posesji znajdował się taki rów, stanowiło nieodmiennie przedmiot gorących sporów, do których żony zachęcały swoich mężów, aby wyrwać odrobinę przetrzeni dla swoich dzieci. O przykopy toczono sąsiedzkie wojny, obrażano się, pisano podania do władz gminnych i udawano się do sądów. Pierwszy dokument pisemny dotyczący Wirczy, odnaleziony w archiwum wawelskim przez pewnego wirczanina, który tak jak i wszyscy tutaj rozkochany był w swoim Topieluchowie, dotyczył właśnie sporu o przykopę, jaki praszczurowie mojej rodziny toczyli w XV wieku z inną rodziną; sporu, dodajmy, zakończonego chwalebnią ugodą, zawartą pod naciskiem “pokój czyniącego”, niejakiego Tomasza Prusa, pochodzącego także z mojej rodziny.

Ja nie wyrosłam w Wirczy, przyjechałam tutaj jako dorosła, jedynie spowinowacona, zresztą dość odległe. Reprezentowałam pierwiastek kobiecy obcy tutejszej kobiecości, inny, jak kropla wody wrzucona do oliwy, która, choćby chciała, nie może się z nią nigdy zmieszać. Patrzyłam więc na wszystko chłodnym okiem, nieuprzedzonym przez tę wirczańską szaloną miłość, docierałam do jej istoty powoli, krok po kroku.

Kiedy pojawiłam się tam po raz pierwszy, napojona słodkim mlekiem opowiadań, zobaczyłam jedynie mokradła, teren płaski jak kartka papieru, łąki po horyzont, falujące jak przestwór jakiegoś oceanu, jednolicie zielone, z wieżą kościoła w Wirczy na horyzoncie.

- To nasza Wircza. Jestem szczęśliwa, że tu mieszkam i mam nadzieję, że nigdy nie wyjadę – powiedziała wtedy kuzynka zanim zdążyłyśmy się przywitać, zawrzeć znajomość, czy obejrzeć tak jak kobieta ogląda kobietę, krytycznie. Przyjechała po mnie na stację do sąsiedniej wioski. W samej Wirczy stacja nie była potrzebna, wyjeżdżało się stąd bowiem tylko czasami i pod absolutnym przymusem, co kuzynka dała mi do zrozumienia na samym początku. Jeśli w ogóle opuszczało się Pieluchowo, to tylko do pracy, zawsze z wielką nadzieją na powrót. Jeśli był niemożliwy, fundowało się na przykład witraż w kościele. Zrobili tak kiedyś członkowie Koła Wirczan w Chicago. Teraz pieniądze coraz częściej spływały z Anglii, gdzie wirczanie osiedlili się gromadnie w Carlisle; nadal płynęły do gniazda, w którym żyła szczęśliwsza część wirczan, tych, którzy nie musieli lub za wszelką cenę nie chcieli wyjeżdżać, choćby mieli klepać biedę lub spędzać noce na upijaniu się (o czym wiedziała niezwłocznie cała żeńska część rodziny. Planowano wtedy ratunek lub potępiano, na ogół jedno z drugim równocześnie).

Do matecznika wracano też z emigracji na chrzciny i śluby, bo aktów uroczystych można było dokonywać tylko tutaj, żeby były ważne. Wracano wreszcie po śmierci, aby się pochować.

Nie, wieś z całą pewnością nie była szczególna. Nie rozumiałam miłości, którą budziła. Ot, ulicówka, pełna przedwojennych i gierkowskich kostek stojących obok siebie, jakby warunkiem przetrwania w tej okolicy było wybudowanie domu przy drodze, a potem wykrajanie za nim cienkich pasków ogrodu, niby nici ciągnących się w nieskończoność. Toczono tutaj także bitwy o pola, stajonka, wszelkie małe skrawki ziemi uprawnej, rozdrabniane przez stulecia rodzinnych testamentów. Chadzano w ich sprawie do sądów, geodetów i notariuszy. Druga w kolejności średniowieczna wzmianka w księdze gminnej Wirczy dotyczyła sporu, jaki członkowie mojej rodziny toczyli o stajonka ze swoim lokalnym kuzynostwem. Potem procesy o przykopy i stajonka, kłótnie i ugody powtarzały się jak refren w dziwnej epopei, rajeckiej księdze wsi Wircza, zaczynającej się w czasach Długosza, a kończącej gdzieś za rozbiorów. Było również powszechnie wiadomo, że sołtysi aż do XIX wieku przechowywali u siebie romański krucyfiks, który nie wiadomo jak znalazł się w tej okolicy i akurat w ich posiadaniu. W końcu pewien proboszcz oddał krzyż do odległego muzeum, zapewne w Tarnowie, ale nikt tego nie sprawdzał, Tarnów był bowiem zbyt daleko od Pieluchowa.

Tak, Wircza była piękna tylko na tyłach, za gospodarstwami, czyli na Ostodolach, gdzie aż po las na horyzoncie rozpościerały się łąki, pola ziemniaków i – coraz rzadziej – zboża. Malowniczy był zwłaszcza cmentarz widoczny z Ostodoli jako odległa kępa drzew, zamknięta, kryjąca w sobie groby jak kwoka kurczęta. Szło się do niego miedzą, kilometr albo i dalej, bo droga dawno już zarosła (ryzykowało się

wówczas ukąszenie przez żmiję, bo łąki były podmokłe i żmije pleniły się tam jak na potęgę; ale chodziliśmy i tak, bo było szybciej niż asfaltem na około). Odwiedziny na cmentarzu, pieszo lub na rowerze, były stałym elementem rytuału odwiedzin w Wirczy. Przyjeżdżało się, jadło obiad, wspominało dzieciństwo, opowiadając w kółko te same historie, a potem razem lub w mniejszych grupach szło na groby, na święconą ziemię, która przyjęła już tylu przodków, że chodziło się w zasadzie po ich prochach, przemielonych po wielokroć; że czuło się, że się z tej ziemi wyrasta jak drzewo, uparte i obojętne.

Cmentarz w Wirczy był niewielki, cichy, położony poza wsią przy drodze na Wierzchosławice, zarośnięty starymi sosnami i lipami, w starszej części zapełniony grobami bez większego ładunku i składu. Przyjmował wszystkich, mieszkańców i tych, którzy dawno się stąd wyprowadzili, ale pozostali chorzy na Wirczę.

- Ciotka Amelcia mieszkała w Tarnowie, ale chciała być pochowana tutaj. Ciotka Stenia i jej mąż zostali sprowadzeni aż z Radomia – słyszałam za każdym razem, kiedy przemierzałam tutejsze aleje. – A tu najstarsza siostra babci, Krysia z Krakowa. Tu pradziadkowie.

Najpierw tłumaczono to mi, bo inni doskonale wiedzieli. Potem opowiadano wszystko dzieciom szwagierki i kuzynki. – Najstarsza siostra prababci. Cioteczna babka Stenia i jej mąż. Tu wasi prapradziadkowie.

Nawet niewielka kwatera żołnierzy przy obecnym wejściu wtopiła się już w ogólną sielskość, metalowe krzyże szerniały, zaczęły tonąć w tutejszej kipiącej trawie. Skąd się tu wzięli, nie wiadomo, w każdym razie nikt się o to nie troszczył i nigdy mi tego nie wyjaśniano. – Widzisz, jak to jest, kiedyś chyba dbano o to, nawet chyba wieńce kładziono, a teraz wszystko zarasta – szepnęła mi kiedyś na ucho ciocia Elżunia. Wojen było tu wiele, przetaczały się jak wiatr we wszystkich kierunkach, czasami mężczyźni musieli iść do lasu, a potem znajdowano ich tutaj. W której dokładnie wojnie walczyli ci z kwatery, za co polegli i po której stronie, co za różnica. Dla kobiet w Wirczy, dla prządek z Pieluchowa, które interesuje tylko chwila narodzin i chwila śmierci, które nigdy nie pytają o powód, bo są wielkoduszne i rozumieją wszystko, żołnierze pozostali anonimowi. Przeszli przez te łąki jak ołowiane figurki przez ogień, stopili się, zostali, przyjęto ich za swoich, a kwaterę na cmentarzu po prostu zaakceptowano, jak przyjęła ją trawa, jak mrówki akceptują w końcu wyrwę, którą ktoś zrobił w mrowisku, skupione bardziej na utrzymaniu jednostajności swojego wspólnego bytowania.

Kiedy przyjechałam tam ostatnio, był czerwiec. Pogoda była piękna, można było pojechać na cmentarz na rowerach, nadłożyć drogi i cieszyć się każdą chwilą wysiłku, czuć pulsowanie krwi pod skórą. Minęliśmy drogę na Borzęcin z figurą Chrystusa o odstrzelonej dłoni, która stała na rozstaju (odstrzelono jej tę dłoń podczas ostatniej wojny, strzelec ponoć rychło zmarł, ale Chrystus pozostał bez ręki). Minęliśmy pola, gdzie układano siano po pierwszych sianokosach, potem samotną staruszkę w chustce, która podwiązywała pomidory. Spojrzała na nas obojętnie, bo byliśmy hałaśliwi. Lato dopiero się zaczynało, przypominało jeszcze młodą kobietę, która kwitnie, złości się rzadko i nie bywa zapiekła; kiedy upały są jeszcze łagodne, a zieleń bujna.

Na cmentarzu świerszcze grały głośno jak cykady, tylko wyżej i bardziej miękko, jakby naśladowały ptaki. Zawsze tak było, bo zmieniało się tu niewiele i zwykle irytowała mnie ta monotonia. Latem o zmroku dołączał się chór żab, jesienią bywało tu już zupełnie cicho, słysząc było tylko ciągnące niebem żurawie, w listopadzie zaś trzeba było uciekać przed wiatrem, szalejącym po łąkach od strony Borzęcina w kierunku Wierzchosławic lub Szczepanowa. Kiedyś, broniąc się przed tym wiatrem, zużyliśmy całe pudełko zapalek, aby zapalić znicz na grobie prababki. Teraz było bezwietrznie, prowadziliśmy rowery piaszczystą alejką w kierunku mogiły pradziadków, pod stopami chrzęściło igliwie. Drobiny pyłu wpadały do butów, koła zapadały się pomiędzy wystającymi korzeniami, ale piach i korzenie były tu wcześniej, trudno im było złorzeczyć. W oddali samotna kobieta myła starannie kamienny nagrobek, pewnie męża, w charakterystycznym rytuale. Jej ruchy były powolne, niemal mechaniczne, widocznie powtarzała je często; zgięta w pół pieściła szmatą załomy szarej lastrikowej płyty, pokrytej wzorem białych kamyków.

Zatrzymaliśmy się przy grobie ciotki Halszki.

- Kiedyś jeden z wujków przyszedł na cmentarz i nagle coś chwyciło go za ubranie. Nie mógł się uwolnić, szarpał się, był przerażony, w końcu zostawił ubranie i wrócił do domu półnagi – powiedziała któraś z kuzynek. Była to historia, którą słyszało się tutaj regularnie, ja – przynajmniej kilka razy.

- Naprawdę? – zadałam rytualną odpowiedź. Dawno pożegnałam się z nadzieją na słowiański wampiryzm, na wirczańskiego topielca, na cokolwiek. Nie pasowały do pogody cmentarza, do wirczańskiej kołyski, w której przecież nikogo się nie straszy, a jedynie usypia, kładzie się palce na oczach i gładzi po głowie. Od dawna wiedziałam, że sielskie Pieluchowo składa się jedynie z obiadów, czułości i opowiadania w kółko tych samych rodzinnych historii.

- Rano okazało się, że to koledzy przybili mu młotkiem ubranie do drzewa. Wisiało na gwoździach, tak jak je zostawił w nocy.

Świerszcze.

- Raz jeden, opowiadał mi kuzyn, jego dziadek zgubił się gdzieś tutaj w lesie, kiedy wracał do domu – powiedziała ciotka. – Pojawiło się światełko, taki błędny ognik. Idąc za nim, doszedł do domu. Wszedł do środka, ale światełko tkwiło nieruchomo przed jego drzwiami. Pomyślał, że zniknie, ale nie zniknęło. Więc kazała mu żona wyjść i spytać: czego potrzebujesz, duszeczko, żeby się dostać do nieba?

- Tak się spytał?

- Właśnie tak. Dusza odpowiedziała, że jednego „Wieczne odpoczywanie”.

- To niewiele.

- No tak, ale widocznie odprowadziła już kilku wędrowców i nie brakowało jej dużo. Kiedy zmówił modlitwę, światełko zniknęło.

Zapadła cisza. Więcej opowieści nie było. Historia dobrotliwego i mało wymagającego światełka to była najstraszniejsza wirczańska historia o duchach, kto wie, czy nie zmyślona. Zresztą świetlików latem bywało tutaj mnóstwo, o zmroku ich zielone punkty unosiły się nad ziemią, przesuwały na tle gęstwiny, jaśniejąc lub przygasając, kiedy wyciągnęło się do nich rękę. Ta dusza, może to był świetlik. Świetliki, może to były dusze.

Był to bowiem świat zupełnie innej cudowności, spokoju wczesnoletniego popołudnia i głośnych świerszczy. Nie było ich widać, przysięgłabym, że były wielkości wróbli, ale pewnie były to zwykłe świerszcze, tylko rozochoczone przez pierwsze upały. Był to świat zatrzymany nagle w pół kroku pomiędzy jednym pokoleniem a drugim, obojętny nam, rowerzystom, odmierzający po aptekarsku ziarnka piasku i źdźbła na łąkach, które dzielą nas od końca czasu, jedno po drugim; przechowujący zmarłych w miękkiej otulinie gleby. Kiedy piasek i żwir się skończą, byłam pewna, wstaną wszyscy spod tych sosen, rozpoznają się krewni, wyjdą stąd strumienie wnuków, kuzynów i stryjów, wymienią uprzejmości, dopytają się, co stało się z ich przykopą i czy stajonko pod lipką jeszcze istnieje. Pewnie tutaj, pod tymi sosnami odbędzie się ich sąd. Na razie śnią i czekają cierpliwie. Babki, ciotki i kuzynki myją nagrobki, zapalają znicze, rodzą i karmią, wspominają, opowiadają te same historie. Czas płynie.

**Bujność czerwca zwykle napawa mnie melancholią. Jego kwitnienie jest ulotne. Za pasem lipiec, kiedy kolory zbledną, kształty zaczną się męczyć i topnieć. Zgasną świetliki, trawa posiwieje, a słońce wypali na ziemi swoje znamiona. Nie będzie odwrotu. Zrobimy wyraźny krok ku śmierci. Robiliśmy je i wcześniej, ale w marcu czy maju, dopóki rozwijaliśmy się i kwitnęliśmy, nie było to tak dotkliwe. Teraz trwa chwila pełni, teraz jest doskonale, mogę wziąć Cię za rękę, ale kto wie, jak długo jeszcze, jak długo.**

W czerwcowe popołudnie pojęłam gorzką pociechę Wirczy. Może cmentarz mógłby przyjąć i mnie, myślałam, kiedy nadejdzie mój grudzień. Może by mnie nie wypłuł, bom już spowinowacona. Może zmieliłby i moje kości, przerobił na mleczko, świerszcze i sosny.

(czerwiec 2013)

*Marta Kwaśnicka*

Więcej tekstów autorki można znaleźć na blogu